Rok IV. Czerwiec-Lipiec 1908. Nr. 2.

# MIŁOSIERDZIE CHRZEŚCIJAŃSKIE

ORGAN

## „KONFERENCYI ŚW. WINCENTEGO A PAULO“

i

STOWARZYSZEŃ IM POKREWNYCH.



*Deus Caritas est.*

Redakcya i Administracya: **Kraków, Kleparz, ul. św. Filipa 19.**

## TREŚĆ ZESZYTU:



**Zeszyty trzyarkuszowe wychodzą dwumiesięcznie.**

Prenumerata wynosi:

| | | | |
|---|---|---|---|
| w Austryi | rocznie | Kor. | 2·– |
| w Niemczech | „ | Mk. | 2·– |
| w Warszawie | „ | Rs. | 1·– |
| na prowincyi w Królestwie i Cesarstwie | „ | „ | 1·20 |

Adres Redakcyi i Administracyi Dwumiesięcznika:
**Kraków, Kleparz, ul. św. Filipa 19.**

CZCIONKAMI DRUKARNI ZWIĄZKOWEJ W KRAKOWIE
POD ZARZĄDEM A. SZYJEWSKIEGO.

†

## Ludwik hr. Dębicki.

Przez ciąg lat 42 członek i prezes konferencyi, z których przez lat siedm Prezes Rady wyższej galicyjskiej Towarzystwa św. Wincentego a Paulo — Ludwik hrabia Dębicki, zmarł w Krakowie 25. maja 1908 r.

Jak wiernym był synem kościoła, afirmując tak w publicznem jak w prywatnem życiu swą względem niego uległość, a odczuwając ze szczególnem zainteresowaniem sprawy Unii i Kościoła polskiego na kresach, o tem własne jego świadczą słowa: „Dzisiejsze czasy „wymagają jawnego wyznawstwa, niekiedy otwartej walki.“ Czy i w jakiej mierze, przez najbliższych sobie ideami, cenionym i docenionym był jako pisarz, redaktor, publicysta, poplecznik zdrowej tradycyi narodowej i każdej sprawy społeczno-polskiej, o tem dowiedzieliśmy się z pięknego nekrologu umieszczonego w „Czasie“. Jest atoli w życiu Ludwika Dębickiego karta ogółowi nieznana a zaszczytna i pouczająca a tą jest działalność w sprawach miłości bliźniego i w organizacyi miłosierdzia. Uchylić zasłonę kryjącą tę zasługę codzienną, szarą, mozolną, nie z pobudek ciekawości lecz dla przykładu, godzi się i należy.

Pierwszą na tej drodze przewodniczką i przykładem była mu matka, niewiasta hartowna duchem, sercem tkliwa i odczuwająca każdą nędzę i ból życia. Jak daleko pamięcią sięgał w dziecinne lata, nie zapamiętał, aby kiedykolwiek w domu macierzyńskim nie było na wychowaniu przynajmniej jednej sierotki lub wychowanki. Niekiedy liczba ich znacznie wzrastała.

Młodzieńcem już, gdy, rozpoczynając zawód publiczny, pracuje w Wydziale krajowym we Lwowie, styka się i obcuje z ludźmi

takiego pokroju duchowego jak Maurycy Dzieduszycki lub Kalixt Orłowski, który przebrnąwszy zwycięsko rafy zwątpienia i obojętności religijnej, sam czynnie a gorąco oddany dziełom miłosierdzia, werbuje w r. 1866 młodego Ludwika Dębickiego pod sztandar Towarzystwa św. Wincentego a Paulo.

Instytucya ta, o charakterze praktyczno-religijnym, zawiązana we Francyi, w latach trzydziestych XIX. wieku, a szybkiem tempem krzewiąca się po całej Europie, późno stosunkowo aklimatyzuje się na ziemiach polskich. Prądy wywrotowe i mody paryskie szybciej do nas naówczas przenikały, niż echa odrodzenia religijnego Francyi i idący w ślad za niem popęd ku niesieniu czynnej duchowej i materyalnej pomocy nieszczęśliwym. Głos Proudhoń'a wznawiającego stare manichejskie doktryny, jakoby jałmużna chrześcijańska upadlać miała ubogiego, a piętnem ciekawości inkwizycyjnej cechowała obdarowującego, jako wygodniejszy, znajdywał łatwiejszy posłuch u ogółu, niż przepowiednia ewangieliczna: „ubogich zawsze wśród was mieć będziecie". Zwolna jednak i u nas kiełkować zaczyna zwrot ku miłosierdziu czynnemu. 17. lutego 1850 r. zawiązuje się pierwsza polska Konferencya w Poznaniu. Na rok 1858 przypada powstanie Konferencyi św. Wincentego we Lwowie. Kraków zaś zakłada Konferencyę pod wezwaniem N. Panny Maryi z końcem 1867 roku, do której grona wchodzi 21. czerwca 1868 przybyły ze Lwowa Ludwik Dębicki.

Od tej chwili zabiera on się raźno do pracy nad ubogimi: odwiedzając suteryny i poddasza, werbując nowych adeptów, projektując środki podniesienia dochodów Towarzystwa, katechizując moralnie zaniedbane dzieci. Po pięciu latach pracy w tej Konferencyi, obrany w r. 1873 jej wice-prezesem, przenosi się w tymże roku do Konferencyi św. Jana Kantego, założonej wyłącznie dla młodzieży akademickiej, pragnie bowiem wśród niej pracować i nabytem już w sprawach miłosierdzia doświadczeniem, z młodymi dzielić się towarzyszami. Objąwszy zaś w r. 1875 przewodnictwo Konferencyi, całego wpływu, namowy, przykładu używa, by wzbudzić wśród nich prawdziwy zapał sztandaru, a tradycye Ozanama i kommilitonów jego rozdmuchać, przeświadczony, iż oznajomienie

„się z nędzą wszelkiego rodzaju przynosi największą korzyść mło-„dzieży, będąc żywą analizą natury ludzkiej i ran społecznych, iż „jest to dla niej ostrzeżeniem na całe życie przed marnowaniem sił, czasu i grosza. Razem z młodszymi członkami odwiedza i pomoc niesie ubogim rozsianym w rozległych, które sobie zapał młodzieży zakreślił granicach Konferencyi. Na posiedzeniach jej dla członków przyjacielski i wylany, pobudza i równoważy dyskusyę, drażliwości wyrównywa, niekiedy hamując nielicującą ze stanem kasy hojność i entuzyazm. Wśród zajęć zawodowych i obowiązków towarzyskich czas na wszystko znajduje.

Częściej też niż inne, tę młodziutką Konferencyę odwiedzać zwykł Prezes Rady wyższej ś. p. Paweł Popiel. Ciętem, a zawsze serdecznem słowem, zachętą, dowcipem lub wspomnieniem z lat odległych młodzież rozgrzał i podniósł na duchu, wskazując jako na przykład do naśladowania tych, których wiara i zapał stworzyły tę instytucyę we Francyi, a z którymi za młodu sam obcował i przyjaźnił się. A gdy po dwudziestoletniei pracy nad zorganizowaniem i wypiastowaniem Konferencyi krakowskich postanowił złożyć urząd prezesa Rady wyższej, następcą jego został 11 listopada 1886 wybrany prezes Konferencyi św. Jana Kantego.

Nie od razu wszakże rozstał się z umiłowaną młodzieżą i dopiero upatrzywszy sobie następcę, złożył w kwietniu 1887 r. przewodnictwo Konferencyi, z którą się zżył i zespolił.

Na stanowisku prezesa Rady wyższej, działając w duchu tradycyi Pawła Popiela, rozwija usilną działalność, i stara się wejść w kontakt nietylko ze zbiorowymi lecz i z pojedynczymi organami Konferencyi. Pamiętamy, jak po zakończeniu nieraz obrad na walnem zebraniu Towarzystwa w dniu 8. grudnia zapraszał członków na wieczorną pogadankę i ze staropolską podejmując ich gościnnością, dyskutował nad naprawą wadliwości jałmużnictwa krakowskiego. Na ten też mniej więcej okres czasu przypada podjęcie myśli założenia domów o tanich a higienicznych mieszkaniach, dla niezamożnych, wypieranych coraz bardziej z dzielnic miasta środkowych, wskutek przekształcenia się tych ostatnich w nowożytne a drogie budowle. Przedsięwzięcie miało powstać zbiorowemi si-

łami, a znalazła się już była hojna ofiarodawczyni, która datkiem 10.000 złr. pragnęła umożliwić jego zapoczątkowanie. Usiłowania rozbiły się o niemożność wynalezienia taniego placu pod budowę domów i kierownika, mogącego poświęcić się mozolnemu zarządowi. Inicyator więc projektu na własne ryzyko i na własnym gruncie buduje w r. 1878 dwa domy dla ubogich i przez lat 20 daje w nich przytułek rozbitkom fortuny, znosząc na swych barkach ciężar utyskiwań, niewypłacalności często narzekań lokatorów i zwróciwszy zaawansowaną sumę 10.000 złr. Dopiero złożony chorobą, gdy już zadaniu podołać nie może, pozbywa się drogą sprzedaży tych domów i wtedy jeszcze składa na rzecz dawnych lokatorów dar jednorazowy.

Gdy w r. 1893 złamany utratą najstarszego, pełnego nadziei syna i zniewolony zająć się gospodarką wiejską, opuszczał na czas dłuższy Kraków, wtedy złożył przewodnictwo Rady wyższej Towarzystwa, i usunął się w zacisze domowe. Lecz i stąd nie przestaje opiekować się i czuwać nad ubogimi. Nietylko doraźną wspiera ich jałmużną, lecz doroczne urządza święcone i gwiazdki, obdarowując osobiście dzieci ubogie. W posiadłościach swoich funduje dla pracowania nad ludem i dziećmi wiejskiemi kolonie sióstr św. Feliksa i Tercyarzy św. Franciszka.

A gdy skołatany chorobą, która coraz większe robi postępy, pisze jeszcze przed Wielkanocą do rodziny z Wiesbadenu, zaleca w liście usilnie: „nie zapomnijcie o mojem święconem dla ubogich“.

Ufamy przeto, iż miłosiernemu przez życie całe ś. p. Ludwikowi Dębickiemu Bóg miłosierdzia dostąpić pozwoli, bo wierny jest w obietnicach swoich.

## Gniazda w powietrzu.

(Krytyczne uwagi o projekcie p. Kazimierza Jeżewskiego).

### I.

Od kilku lat sprawa ratunku dzieci opuszczonych, zaniedbanych i osieroconych stała się w Galicyi pierwszorzędną kwestyą społeczną. Tysiące dzieci ginących zaraz w pierwszej młodości, a nawet w pierwszym roku życia, inne tysiące wcześnie zepsutych, małych przestępców, rozpaczliwe położenie i nędza tej małej społeczności prawdziwie dantejskiej „città dolente“, coraz gorsze cyfry statystyczne, wszystko to zaczęło zwracać na siebie uwagę, naprzód tych ludzi, co przed jękiem ludzkim uszu sobie nie zatykają, później szerokich kół dbałych o przyszłość kraju, nakoniec władz rządowych i autonomicznych. Zaczęła się więc podwójna akcya samego społeczeństwa i rządu, zaczęły się w Sejmie pojawiać takie znaki położenia, jak wniosek posła Merunowicza o stworzenie funduszu dla wychowania dzieci nieślubnych, wniosek o domy podrzutków, debata z dnia 5. marca 1907. nad sprawozdaniem Wydziału krajowego o krajowym funduszu sierocym. Akcya społeczeństwa, stara jak chrześcijaństwo, wzmożona nieco

w ostatnich czasach wobec wzrastających potrzeb, szła utartym szlakiem chrześcijańskiego miłosierdzia.

Działanie zaś rządu, jedno z zadań administracyi publicznej, jak dotąd przeważnie platonicznej natury, ograniczyło się dotychczas do wniesienia i przeprowadzenia w Radzie państwa i Sejmie ustawy (z 2. lutego 1905.) o przekazaniu nadwyżek kas sierocych do 1910. krajowemu funduszowi sierocemu, na potrzeby Galicyi niedostatecznemu, do wniesienia projektu zmian w rozdziale kodeksu cywilnego w opiekach przy sposobności nowelli i do wstawienia w budżet państwowy kwoty 500.000 koron na poparcie instytucyi i stowarzyszeń, poświęconych ochronie dzieci. Reszta działalności rzadu, jak udział w przeszłorocznym wiedeńskim kongresie dla ochrony dziecka, albo jak utworzenie krajowych komitetów dla ochrony dzieci — korporacyi radzących po akademicku, a nie mających funduszów na działanie, nie mogła mieć bezpośredniego skutku, jest co najwięcej przygotowaniem do dzieł w przyszłości.

Realniejszego znaczenia byłby chyba komunikat rządu w wiedeńskiej gazecie urzędowej o życzeniu Monarchy, aby dary, składki i fundacye z powodu jubileuszu cesarskiego przeznaczyć na ratunek dzieci. Jakkolwiek więc dotychczasowa akcya rządu z wyjątkiem stworzenia funduszu sierocego i kwoty 50.000 koron w budżecie była przeważnie teoretycznego znaczenia, początek jest zrobiony i można mieć nadzieję, że rząd, który wziął w swe ręce sprawę ubezpieczenia na sta-

rość, przeprowadzi także nierównie donioślejsze ubezpieczenie „na młodość", ubezpieczenie dzieci od wczesnej śmierci i zepsucia, a ludowy parlament uchwali takie ubezpieczenie dzieci, chociaż one nie mają czynnego prawa wyborczego przy bezpośredniem tajnem i równem głosowaniu.

Dopóki to nie nastąpi. społeczeństwo samo musi sobie radzić z tą niezagojoną raną, jak dotąd radziło. Dotychczasowa akcya prywatna, oczywiście niedostateczna, przybrała dwie formy: stowarzyszeń i zakładów. Oba rodzaje działania pozostają w ścisłej zawisłości i łączności ze sobą; stowarzyszenie wyszukuje dzieci, a zakłady je przyjmują na wychowanie; często stowarzyszenie jest organem pomocniczym zakładu i dostarcza mu funduszów ze składek, albo umieszczając w zakładzie dzieci, płaci zakładowi za ich utrzymanie. W ostatnich czasach w poczuciu coraz gorszego stanu powstało dosyć dużo (może nawet za dużo) stowarzyszeń dla ratunku dzieci, rad sierocych, opiekuńczych, towarzystw opieki nad sierotami i niemowlętami, a stosunkowo mało zakładów, bo nic łatwiejszego, jak napisać statut i zawiązać stowarzyszenie, ale daleko trudniej stworzyć zakład, postawić potrzebne budynki i uzbierać na to potrzebne pieniądze, a następnie z roku na rok starać się o środki utrzymania przyjętych dzieci. Co gorsze, że w Galicyi niema prawie zakładów dla dzieci poniżej roku 7-go, bo większe zakłady fundacyjne jak Skarbkowski, Lubomirskich, Józefitów, po części Szarytek, przyjmują dzieci na wychowanie dopiero

w wieku szkolnym. Stowarzyszenia zaś mogą tylko dzieci opuszczone wyszukać, co najwięcej kilkanaście lub kilkadziesiąt w zakładzie za zapłatą umieścić, ale nie mając zakładów własnych, nie są w stanie na większą skalę ratować opuszczone dzieci. Dlatego to krakowska sekcya komitetu krajowego dla ochrony dziecka uchwaliła w maju bieżącego roku rezolucyę o konieczności zakładów dla dzieci od niemowlęctwa do 7-go względnie 10-go roku życia i dlatego także krakowska Rada opiekuńcza [1]) wniosła w pierwszych dniach marca 1907. petycye do Sejmu galicyjskiego o założenie przynajmniej dwóch krajowych zakładów sierocych z oddziałami dla podrzutków i o zmianę ustaw w tym kierunku, aby koszta utrzymania dzieci opuszczonych przejął na siebie kraj zamiast gminy, jak było dotychczas. Gminy obowiązku wychowania ubogich dzieci nie wypełniały, wypełniać nie chciały, a po części nie mogły, miłosierdzie prywatne zadaniu podołać nie było w stanie, a więc wniosek z tego, żeby kraj lub państwo, najlepiej kraj z pomocą państwa wziął na siebie finansowe ciężary potrzebne do zupełnego załatwienia sprawy obchodzącej całe społeczeństwo. Środkiem zaś ratunku w regule jest zakład w tym celu odpowiednio urządzony, wyjątkowo zaś umieszczenie dziecka u osób prywatnych pod kon-

---

[1]) Krakowska Rada opiekuńcza jest jedynem stowarzyszeniem typu Rad sierocych, które w porozumieniu i za współdziałaniem Rektora Ks. Ks. Pijarów wspólnie z kolegium Pijarów stworzyło zakład dla chłopców dzięki niezmordowanej pracy p. Radcy skr. W. Szybalskiego.

trolą. — Sprawa była więc jasno postawiona, a jakkolwiek krajowa władza autonomiczna nie była zbyt chętna dla takiego załatwienia sprawy, przecież był ostatni czas, żeby ją podnieść, bo zbliżały się zapowiedziane obrady nad tak zwaną sanacyą krajowych finansów, a więc koniecznem było zaznaczyć, jakie ciężary na te finanse spaść powinny. Petycyę krakowskiej Rady opiekuńczej odesłał Sejm na wniosek komisyi prawniczej i jej referenta prof. Wł. L. Jaworskiego, na sesyi wrześniowej 1907. Wydziałowi krajowemu do zbadania i przedłożenia sprawozdania.

Tak sprawa stała, gdy zjawił się w Galicyi pan Kazimierz Jeżewski z Warszawy, człowiek młody, ruchliwy, energiczny, nie gardzący reklamą, jak się zdaje sprawie opieki nad dziećmi bardzo oddany, ale głowa w obserwacyi i w rozumowaniu nieścisła i nielogiczna, bałamutny fantasta i wystąpił ze swoim pomysłem „gniazd rodzinnych“ czyli „sierocych“. W lutym 1908. ogłosił broszurkę pod tytułem: *W sprawie zorganizowania krajowej opieki nad dziećmi w Galicyi*, w maju drugą: *„Do pracy od podstaw“* i artykuł: *Opieka nad dziećmi*, krytyczne uwagi o dotychczasowym systemie wychowania dzieci bezdomnych w „Gazecie lwowskiej“ z 11-go i 12-go czerwca 1908. Oprócz tego p. Jeżewski agituje za swym projektem, miewa konferencye i odczyty i właśnie jeden z tych odczytów wydrukował w „Czasie“ z 27. czerwca 1908.

W chwili wystąpienia w lutym br. pomysł zdaje się nie był gotowy, bo dopiero w drugiej broszurze

wprowadza p. Jeżewski tak nazwane przez siebie instruktorki wychowawczyń, o czem początkowo mowy nie było, tak samo, jak o bursach rzemieślniczych. Chociaż jednak pomysł w szczegółach jest jeszcze w stanie płynnym, jeżeli nie lotnym, można przecież wziąć pod rozwagę główną zasadniczą część — podstawę całego pomysłu, gniazda rodzinne. Według p. Jeżewskiego wychowanie opuszczonych dzieci powinno się prowadzić na wsi w umyślnie na to stworzonych gospodarstwsch 20—30 morgowych. Takie gospodarstwo ma być oddane w zarząd rodzinie włościańskiej, która otrzymuje 10 sierót na wychowanie. Ta rodzina, której p. Jeżewski pozwala mieć czworo własnych dzieci i te 10 sierot na wychowanie oddanych, tworzą to gniazdo rodzinne czy sieroce, żyjące z dochodów gospodarstwa pozostającego własnością krajowego funduszu sierocego. Gospodarzowi gniazda każe p. Jeżewski z tych 20 czy 30 morgów wyprodukować nie małe rzeczy. Nietylko ma ten agronom wyżywić siebie, swoich czworo dzieci i dziesięcioro sierót [1]), ale powinien jeszcze złożyć z czystych dochodów emeryturę dla siebie i żony i kapitał dla każdego z 14-ga dzieci wypłacany mu po pojściu do pełnoletności. Oprócz tego ponosić będzie ojciec gniazda inne ciężary jak peryodyczne przyjmowanie instruktorek, urządzanie (przy

[1]) Broszura w sprawie zorganizowania opieki nad dziećmi strona 10 i 11.

20 morgach!) „pól doświadczalnych“, „różnych pepinier hodowlanych“ [1]) itp.

„Opoką dla sprawy gniazd sierocych“ będzie według p. Jeżewskiego mała garsteczka naprawdę „ideowych kobiet“ tak zwanych instruktorek, „apostołek czystego serca i umysłu, głębokiej i prawdziwej wiary, bez cienia obłudy ani bigoteryi“. Instruktorka będzie mieć nadzór nad 10 gniazdami czyli 100 sierotami i w tym celu ma objeżdżać kolejno pojedyncze fermy. Nie mogę sobie odmówić zacytowania kilku zdań p. Jeżewskiego, co taka instruktorka będzie wyrabiać. Przyjedzie do gniazda na dwa tygodnie co pół roku i stanie się dla gospodarzy „wzorem zapobiegliwości, pracowitości, troskliwości“, pozna ich wady i zalety, „postara się zalety rozwinąć, wady wykorzenić“, stanie się krzewicielką przemysłu domowego, założy tkalnie, inna rozwinie przemysł drzewny, inna koronkarstwo i hafciarstwo. Pod jej wpływem matka gniazda, zwyczajna i prosta kobieta „wyrobi się na doskonałą gospodynię i wzorową wychowawczynię“, a wpływ ten dosięgnie i jej męża. Z gniazd dzięki instruktorkom na kraj cały promieniować będzie kultura itd., a kończąc te naiwne rojenia o instruktorkach, pyta p. Jeżewski z dobrą miną: „gdzie tu jest, proszę, fantazya?“

Ponad instruktorkami i gniazdami wymyślił p. Jeżewski całą biurokratyczną drabinę krajowych organów wykonawczych i doradczych: krajowe biuro opieki, za-

---

[2]) Do pracy od podstaw strona 6.

rząd krajowego Biura opieki dla całego kraju, „krajowa powiatowa“ (sic) opieka dla powiatów, Rada krajowego Biura Opieki nad dziećmi.

Pomimo tcgo aparatu nadzorczych organów w pomyśle p. Jażewskiego głównym zrębem i podstawą, są owe gniazda rodzinne i od ich wartości zależałaby cała wartość pomysłu. Nowość tego pseudo-amerykańskiego pomysłu nie leży w tem, że p. Jeżewski chce oddawać opuszczone dzieci wiejskim babom na wychowanie, bo to rzecz dawno znana, niestety na nieszczęście dzieci już dobrze wypróbowana, i tę sztukę oddania dziecka na wieś na wychowanie potrafi i praktykuje prawie każda nieślubna matka, służąca z miasta. Nowością, którą p. Jeżewski chce wprowadzić, jest, żeby temu chłopu i jego żonie z dziećmi kupić z funduszu krajowego sierocego kosztem 20.000 koron 20 morgów gruntu, żeby drugie tyle co grunt kosztował, wpakować w inwentarz, w budynki, w wkłady gospodarskie, aby raczyli się podjąć wychowania dziesięciu sierót pod dwutygodniową kontrolą instruktorki co każde pół roku. Rzecz dziwna, że też nie przyszło na myśl p. Jeżewskiemu, zwolennikowi wychowania przez wiejskie kobiety, że na to wystarczyłoby zamiast kupować 20 morgów, wyszukać rodzinę, która ma własne swoje gospodarstwo i płacić od sierót umieszczonych w gotówce, jak to dotychczas się robiło. Zyskałby przezto p. Jeżewski tyle, żeby nie narażał kapitału funduszu sicrocego na straty, a znalazł wśród posiadającej ludności włościańskiej względnie lepszych wycho-

wawców, niż wśród bezrolnych i bezdomnych, dla których dopiero warsztat pracy potrzeba nabywać. Ale zyskałby jeszcze coś więcej, bo nie potrzebowałby brać na utrzymanie z krajowego funduszu sierocego ojca i matki gniazda i ich czworga dzieci nie sierót i nie opuszczonych, owszem mających takich wzorowych rodziców, że im p. Jeżewski powierza 10 sierót do wychowania.

A właśnie w tym punkcie projekt p. Jeżewskiego jest monstualnie niepraktyczny, bo najdroższy ze wszystkich, jakie dotąd praktykowano. Na to, żeby wychować 10 sierot, chce p. Jeżewski żywić i utrzymywać 6 innych osób (ojca, matkę i 4 ich dzieci), to znaczy z dochodów owego krajowego funduszu sierocego, o jakim z powodu jubileuszu cesarskiego marzy p. Jeżewski, poświęca 60 prc. na cele ze sprawą sierocą nic nie mające wspólnego. Po wstępnych w broszurze p. Jeżewskiego tyradach, że dzieci to przyszłość kraju, że według wykazów wydziału krajowego mamy w Galicyi 40.393 dzieci bez opieki i wychowania pozbawionych — prawdziwie wspaniały pomysł załatwienia sprawy, żeby wziąć na utrzymanie z krajowego funduszu sierocego 24.000 ludzi dorosłych i dzieci nie pozbawionych opieki i przy nich dopiero umieszczać te 40.000.

Gospodarcze wywody p. Jeżewskiego starają się wprawdzie dowieść, że taniej wypadnie żywić 16 osób, niż dziesięć albo jedenaście, ale jak każda rzecz sprzeczna ze zdrowym rozsądkiem te dowody są błędne. Gdyby

przynajmniej p. Jeżewski tak rozumował, że lokacya funduszu sierocego w ziemi będzie tak korzystna, o tyle większy procent będzie przynosić od papierów kredytowych, że opłaci się żywić o sześć osób więcej byle mieć tę zwyżkę oprocentowania, toby go jeszcze jako tako można zrozumieć, choć i w tym razie najpraktyczniej byłoby taką najlepszą lokacyę funduszu przeprowadzić a owych sześciu osób z funduszu sierocego nie utrzymywać. Ale p. Jeżewski prawdopodobnie wie, że ziemia nie jest wysoko procentującą się lokacyą kapitału i przy teraźniejszych cenach nawet 4 prc. nie przynosi, a więc rozumuje w ten dziwny sposób: na założenie gniazda wyda fundusz sierocy 40.000 koron, a ponieważ gniazdo ma wyżywić 10 sierót, wypada na każdą sierotę, rachując od wydanego kapitału 4 prc. rocznie, koszt 160 koron [1]), a zatem mniej niż Wydział krajowy płaci w Zakładach (250 koron) z dzisiejszego funduszu sierocego. Jeżeli ten rachunek ma znaczyć tylko tyle, że fundusz sierocy, np. w 4 procentowych papierach ulokowany, założywszy gniazdo nie będzie mieć z powodu jednej sieroty więcej straty w procentach niż tylko to, co pobierał, to jest to oczywiste, bo rzeczywiście 4 procent od 4.000 koron wynosi 160 koron. Ale to nie przesądza wcale kwestyi, ile utrzymanie sieroty w gnieździe będzie kosztować. Jeżeli przzpuścimy,

---

[1]) Do pracy od podstaw stron. 11 później dodał p. Jeżewski 10.000 funduszu na straty — gniazdo więc kosztowało 50.000 koron, a na sierotę wypadło 200 koron.

że kolonia sieroca wartości 40.000 koron w średniem gospodarstwie da 3 prc. czystego dochodu (wliczywszy bezpłatną pracę niektórych wychowanków) to z tych 1200 koron czystego dochodu każda sierota otrzyma przy zupełnie równym rozdziale między rodziców gniazda ich własne 4 dzieci i sieroty — utrzymanie wartości 75 koron jako $^1/_{16}$ część całego dochodu, a nie 160 koron, jak p. Jeżewski rachuje, czyli będzie skazana w gnieździe na powolne marcie z głodu i nędzy, coby i bez gniazda potrafiła. Będzie to więc bardzo tanie utrzymanie, ale za drogie ekspedyowanie sierót na tamten lepszy świat, a fundusz sierocy — w tem przypuszczeniu poniesie stratę 160 koron rocznie, aby dostarczyć sierocie prestacyi za 75 koron. Odwrotnie będzie, gdy agronom p. Jeżewskiego wydobędzie z kolonii większy dochód, dajmy na to 10 prc., to na każdą sierotę wypadnie 16-ta część 4.000 koron czyli 250 koron, tak jak w zakładzie, coby ledwie wystarczyło na najskromniejsze utrzymanie, a za to najskromniejsze utrzymanie fundusz sierocy zapłaciłby nie 250 koron, lecz 400. W tym razie byłoby praktyczniej dla funduszu sierocego gospodarować przez tego świetnego agronoma, dać mu nawet za to z jakie 1.000 koron, albo mu wypuścić w dzierżawę za 3.000 koron, 10 sierót umieścić za 2.500 koron w Zakładach i schować jeszcze na czysto 500 koron dla dwóch innych sierót.

Z obliczeń więc p. Jeżewskiego nie wynika wcale, żeby utrzymanie w gnieździe było tańsze, a w Zakła-

dzie droższe, lecz tylko to, że w razie lichego gospodarstwa na kolonii utrzymanie będzie i musi być liche i głodowe, a zatem tanie, a w razie lepszego gospodarstwa lokacya kapitału funduszu sierocego będzie lepsza, niż w papierach kredytowych albo Bankach i utrzymanie może być łepsze, ale droższe. Taniość lub drożyzna utrzymania sieroty nie zależy od tego, czy się ją umieści w gnieździe czy w Zakładzie, lecz od tego, co się jej dostarczy, sierota w łachmanach jałowemi ziemniakami żywiona będzie tak samo w Zakładzie, jak w gnieździe mniej kosztować od utrzymywanej po ludzku lepiej żywionej i odzianej. Przy równej zaś stopie życia utrzymanie tej samej ilości dzieci w zakładzie będzie mniej kosztować niż w gniazdach, z dwóch powodów: naprzód dla zniżki cen przy hurtownych zakupnach, powtóre z powodu, że w Zakładzie nie potrzeba utrzymywać tak niestosunkowo licznego personalu wychowawczego co w gniazdach, gdzie na 100 dzieci trzebaby żywić 60 osób, podczas, gdy w Zakładzie 8 lub 10 zupełnie wystarczy.

Nie zdając sobie ściśle sprawy z gospodarczej anormalności swego projektu miał przecież p. Jeżewski widocznie jakieś wątpliwości, skoro poddał — jak sam pisze — gronu „rzeczoznawców“ pod rozwagę pytanie: „czy jest rzeczą możliwą, aby ferma obarczona dziesięciorgiem sierót w różnym wieku, czworgiem rodzonych dzieci gospodarzy gniazda, do tego ojciec, matka — wykarmić (sic) mogła całą taką rodzinę z 16 osób zło-

żoną?“ [1]). Z odpowiedzi tych siedmiu osób, zebranych 7. kwietnia we Lwowie, jest p. Jeżewski bardzo zadowolony, bo zaraz kilkadziesiąt wierszy niżej powiada, że ona kładzie nowe podwaliny dla dalszej propagandy myśli autora“. Śmiem jednak być odmiennego zdania i twierdzić, że ta odpowiedź nie jest znowu tak pocieszająca, jak się p. Jeżewskiemu zdaje. Nie myślę bynajmniej podawać w wątpliwość „znajomości rzeczy“ tych rzeczoznawców, wśród których co najmniej dwóch było fachowych agronomów, ani powątpiewać o ścisłości sformułowania tej odpowiedzi przez p. Jeżewskiego, owszem biorąc ją w brzmieniu w broszurze jego podanem widzę, że według owych rzeczoznawców fermy 20 do 30 morgowe tylko wtedy będą mogły wyżywić te 16 osób, jeżeli będą „z konieczności silnie zagospodarowane“ z „bardzo silnem umontowaniem“ i „muszą podlegać stałej fachowej kontroli“. Tylko w tych warunkach farmy p. Jeżewskiego mieć będą zdaniem rzeczoznawców „ogromne znaczenie“ nie dla sprawy ratowania bezdomnych dzieci, ale „dla kultury kraju“.

Z tej odpowiedzi wynikają następujące smutne konsekwencye:

1) Jeżeli gospodarz gniazda nie będzie umiał albo chciał prowadzić silnie rentującego się gospodarstwa, jeżeli fachową kontrolę odrzuci czyli jeżeli gospodarstwo jak zwykle u włościan będzie liche albo nawet

---

[1]) „Czas“ z 27. czerwca 1908. i broszura „Do pracy od podstaw“ str. 4.

średnie, to farma nie wystarczy na wyżywienie tej licznej kolonii, a p. Jeżewski wysłał 10 sierót na głód i nędzę za cenę 40.000 koron.

2) P. Jeżewski szkodzi sprawie ratowania dzieci i sprawie agronomicznej kultury kraju przez to, że łączy ze sobą te dwie rzeczy żadnego bezpośredniego związku nie mające. Dla kultury kraju korzystnem jest, żeby było jak najwięcej gospodarstw wzorowych, zarządzanych przez dobrych agronomów, choćby byli złymi wychowawcami i żadnych dzieci nie mieli, a dla sprawy sierocej jak najwięcej dobrych wychowawców, choćby byli złymi agronomami. P. Jeżewski zaś przy doborze ludzi do fermy będzie musiał ze szkodą dzieci odrzucać najlepszych wychowawców, bo są złymi agronomami i ze szkodą kultury najlepszych gospodarzy dlatego, że są złymi wychowawcami, a zatem wybór utrudnił i zacieśnił przez wymagania dwóch przymiotów zamiast jednego dla każdej z tych spraw decydującego. Kultura wypłatała nadto p. Jeżewskiemu jeszcze innego figla, bo znawcy orzekli, że gospodarstwo fermy musi podlegać stałej fachowej kontroli, a zatem do instruktorki pomysłu p. Jeżewskiego przybędzie prawdopodobnie instruktor agronomiczny pomysłu znawców i stworzy się prawdziwie komiczna sytuacya, jak instruktorka dla wychowania, urabiając „prostą kobietę na wzorową wychowawczynię“ zażąda od niej lepszego żywienia dzieci mizernych i przeciążonych pracą, a instruktor dla kultury domagać się będzie nakładów na założenie „pola

doświadczalnego albo pepiniery hodowlanej“ (wyrażenia p. Jeżewskiego). W pośrodku między instruktorką a instruktorem stoi ogłupiały patryarcha gniazda, nie mający pieniędzy ani na jedno, ani na drugie, bo go 14 piskląt do szczętu objadło. Na domiar złego kazał mu p. Jeżewski jeszcze jakiś „czysty dochód“ buchalterycznie wykazać, każdemu z 16 członków gniazda przypisać (co niewątpliwe techniczne trudności mu sprawi) i do Kasy Oszczędności zanieść. Wobec orzeczenia znawców mógłby go p. Jeżewski wspaniałomyślnie uwolnić od tego obowiązku, bo właśnie ten czysty dochód z silnie zagospodarowanego gospodarstwa ma służyć do wyżywienia 16 osób, a komisya znawców z 7. kwietnia nic nie wspomina, żeby po wyżywieniu jakaś nadwyżka mogła pozostać. Naturalnie komisya znawców nie orzekała o przypadkach pewnych anormalności w gospodarstwie jednak często się zdarzających, jako nieobjętych pytaniem, a może być, że przez p. Jeżewskiego nie przewidzianych. Tak np. cóż się stanie, gdy gospodarz gniazda samowolnie sprzeda „silne umontowanie“ fermy, cichaczem się wyniesie, a pozostawi instruktorowi, instruktorce i p. Jeżewskiemu pustą fermę i 10 sierót? Fundusz rezerwowy, który p. Jeżewski w kwocie 10.000 koron dla farmy wprowadza, pójdzie na jeden raz na nowe silne umontowanie, a zanim ono w obrocie gospodarczym dochód przyniesie, czy p. Jeżewski pomyślał o losie sierót na pustej fermie? czy drugi dla nich utworzy fundusz rezerwowy? Albo co się stanie, gdy po-

czciwemu gospodarzowi gniazda po nad pozwolenie p. Jeżewskiego urodzi się piąte i szóste dziecko, na które według orzeczenia znawców nie ma funduszów we fermie? Czy p. Jeżewski wyrzuci z fermy gospodarza z sześciorgiem dzieci, czy też przetransportuje dwie sieroty gdzieindziej, zmieni przez to stosunek kosztów utrzymania na niekorzyść sierót i czy przerzuci je (on przesadny zwolennik indywidualnego wychowania) pod inne wpływy dotychczas obcyoh im wychowawczyń?

Tego rodzaju pytań i wątpliwości możnaby bez liku p. Jeżewskiemu zadawać, lecz zdaje mi się to zbyteczne, bo dla każdego nieuprzedzonego jasną jest rzeczą, że orzeczenie znawców nie stało się podwaliną projektu, pomysł gniazd sierocych jest pod względem gospodarczym nie do przyjęcia chybiony i gniazda p. Jeżewskiego gniazdami w powietrzu.

## II.

Gorzej jeszcze przedstawia się pomysł p. Jeżewskiego z punktu widzenia wychowawczego, bo pod tym względem jest on taki na pierwszy rzut oka wadliwy i błędny, że nie wartoby go poddawać rozbiorowi, gdyby nie to, że idzie za pewną popularną tendencyą zresztą uzasadnioną, która mu mogłaby zjednywać zwolenników. Wiemy wszyscy, jak zgubne następstwa, zwłaszcza pod względem moralnym, pociąga za sobą ruch emigracyjny ludności wiejskiej, a w szczególności ściąg tej ludności ze wsi do mia-

sta, jak ona szybko w nowych warunkach życia marnieje i przyczynia się do zwiększenia mas proletaryatu miejskiego. Brutalne odstawienie do miejsca rodzinnego okazało się nieskuteczne, nic więc dziwnego, że w pewnych sferach inteligentnych warstw powstała myśl i dążność reakcyi przeciw napływowi coraz to nowych fal emigracyjnych i zwrócenia ich napowrót z miasta na wieś, urządzenia jakiejś reemigracyi. Na to przychodzi p. Jeżewski ze swym projektem odsyłania dzieci do gniazd, a więc na wsie i chwyta umysły mniej ściśle w tych skomplikowanych rzeczach społecznych myślące za tę popularną dążność do odrobienia tego, co emigracya w ich mniemaniu zepsuła. Nie możemy starszego pokolenia zwrócić napowrót na wieś, odsyłajmy przynajmniej dzieci, a do tego daje nam pomysł gniazd sierocych najlepszą sposobność [1]). W ten tylko sposób można sobie wytłómaczyć względne powodzenie projektu gniazd, o jakiem p. Jeżewski wspomina, a na które projekt swoją wartością nie zasługuje.

---

[1]) Do jakiego stopnia ta myśl zawracania napływu do miast opanowała pewne umysły, dowodzi fakt, że w roku 1905. w Krakowie za przykładem angielskim myślano o założeniu syndykatu dla kupowania gruntów i przesiedlania rodzin miejskiego proletaryatu na zakupione tereny. Statut już był napisany, a profesor Antoni Górski zwołał zebranie, na którem byłem. Trzeba było pewnego wysiłku, żeby zwolennikom projektu wyperswadować, że to do niczego nie doprowadzi i że w Anglii są inne stosunki.

Zdawałoby się, że doświadczenia, zrobione z wychowaniem dzieci przez kobiety wiejskie, doświadczenia niezmiernie smutne, odstraszą raz na zawsze od zalecania tego systemu wychowania. Dosyć przeczytać w sprawozdaniu Wydziału krajowego z 7 września 1869 l. 8153 [1]) przytoczony ustęp pisma Wydziału Rady powiatowej gródeckiej, aby się przekonać, jak to wygląda wychowanie dzieci cudzych przez wiejskie kobiety. „Dzieci zostają" — pisze Wydział powiatowy w Gródku — „bez opieki moralnej i fizycznej, głodne, nagie, brudne, li tylko jako źródło zarobku przez żywicielki uważane, na urągowisko ludzkości snują się jako wychudłe mary po ulicach wiejskich, a żywicielki czyszczą i szurują je w cebrzykach i potokach dopiero w przededniu rewizyi z trzechmiesięcznego brudu i kału". A to było pisane w czasach patryarchalnych cnót na wsi, kiedy jeszcze ani powszechna służba wojskowa, ani sezonowa emigracya, ani propaganda socyalistyczna wsi nie demoralizowały. Jak zaś obecnie z dziećmi na wieś oddanemi się dzieje — mógłby się p. Jeżewski przekonać z aktów krakowskiej Rady opiekuńczej, ze sprawozdania pana radcy Szybalskiego o stanie dzieci w gminach powiatu niepołomickiego, o ich fizycznem i moralnem zaniedbaniu. Zupełną też słuszność miał p. Bolesław Lewicki, gdy w referacie swym na posiedzeniu lwowskiego komitetu opieki zaznaczył, że „z naszym

---

[1]) alegat XVIII do stenograficznych sprawozdań sejmu z r. 1869.

ludem przy jego indywidualności społecznej gniazda sieroce nie będą niczem innem, jak tylko tymi znanymi dawno magistrackimi wychowankami, które zajmą miejsce kopciuszków, popychadeł w rodzinie, które będą wyzyskiwane pod każdym względem a los ich będzie zawsze nieustalony" [1]). Prawdziwie zabójcze słowa dla wychowawczego projektu p. Jeżewskiego, ale cóż z tego, kiedy autor gniazd zrozumiał je w ten sposób, że p. Lewicki „przyklaskuje z całego serca projektowi i życzy jak najrychlejszego jego urzeczywistnienia" [2]). Dziękuję za takie przyklaśnięcie! Znaczy ono nic innego, jak tylko to, że zdaniem referenta komitetu lwowskiego p. Jeżewski roi naiwnie jak nie znająca świata pensyonarka, pisząc, że sierota w gnieździe „nie będzie dzieckiem dziadowskiem ani pogardzaną znajdą" [3]) że „naprawdę stanie się synem czy córką, bratem czy siostrą" [4]). Znaczy to także, że w gnieździe pomysłu p. Jeżewskiego będą dzieci pierwszej i drugiej klasy, własne i cudze, uprzywilejowane i upośledzone, jeżeli nie prześladowane, że słuszność będą miały zawsze dzieci pierwszej klasy, że sieroty, jak je p. Lewicki nazwał popychadła, widząc nierówne traktowanie poić się będą od młodości żółcią i że nie zmysł rodzinny, lecz chyba wątroba silnie się w nich

---

[1]) „Gazeta lwowska" z 5 czerwca 1908, nr. 129.

[2]) „Czas" z 27 czerwca.

[3]) W sprawie zorganizowania kraj. opieki, str. 18.

[4]) Do pracy od podstaw.

rozwinie. Gdy więc p. Jeżewski majaczy, jak jego gniazda „nie jedno orlę w świat wypuszczą“, można mu odpowiedzieć, że daleko prędzej wypełznie z nich jaszczurka. Gdy p. Jeżewski się spodziewa, że wychowankowie jego gniazda „nie pogonią w świat za nieznanym zarobkiem“, można mu odpowiedzieć, że siebie i drugich łudzi, bo wychowankowie gniazd nabędą wszystkich przymiotów i wad środowiska, w jakiem ich autor gniazd myśli postawić. Oni, gdy podrosną, taki sam poczują nieprzeparty pociąg do jarmarków, do pokładów Cunarda, Lloyda lub Austro-Amerykany, jak ich rówieśnicy-sąsiedzi, jak ich wieś, ich parafia i powiat. Ku wielkiemu rozczarowaniu wszystkich zwolenników reemigracyi, którzy nadzieje budują na projekcie gniazd, wychowanki i wychowankowie ferm będą grawitowali ku miastom i ku Saksom jak córki i synowie sąsiednich gospodarzy kilku-zagonowych lub morgowych. I jakimże sposobem mogłoby być inaczej? Czyż p. Jeżewski myśli naprawdę, że ta sierota w gnieździe widząc lub słysząc, jak dobra znajoma z sąsiedniego domu poszła do miasta, gnoju nie wyrzuca, bierze na pierwszego pensyę i w niedzielę ubiera się w kapelusz, że ta sierota pozostanie w gnieździe dalej jako pociągowa czy robocza siła w fermie krajowego funduszu sierocego na pożytek gospodarzy gniazda i ich dzieci? Prędzej czy później wyfrunie to pisklę i nawet czekać nie będzie, aż mu patryarcha gniazda złoży według przepisu p. Jeżewskiego posag z nadwyżek czystego dochodu, których,

jak widzieliśmy, nie będzie, a gdyby były, wystarczyłyby prawie na bilet kolejowy III klasą do najbliższego miasta. Czyż autor gniazd nie widzi, że tak samo, jak poprzednio, mówiąc o równości dzieci w gnieździe, rozumował bez względu na prawo natury, każące rodzicom więcej kochać swoje dzieci niż cudze, tak samo teraz przypuszczając, że wychowankowie gniazda „nie pogonią w świat za zarobkiem“ nie bierze w rachubę wpływu, jaki otoczenie, stosunki ekonomiczne, miejscowe i ogólne prądy na człowieka, zwłaszcza na dorastającego człowieka, wywierają.

A gdyby nawet sieroty aż do 18 roku życia w gnieździe pozostały, to grozi im jeszcze większe moralne niebezpieczeństwo w gnieździe niż na emigracyi do miasta. Widocznie zwrócono już autorowi gniazd na to uwagę, skoro na zarzut w artykule „Krajowe gniazda rodzinne“ odpowiada ale takim argumentem, że nikogo chyba nie przekona. W gnieździe będą dorastające chłopcy i dziewczęta razem. P. Jeżewski sądzi, że wszelkie niebezpieczeństwo dla ich obyczajów już przez to będzie usunięte, że się od niemowlęctwa razem wychowywali. Lecz swoim zwyczajem autor gniazd się myli, bo przez to nie stali się rodzeństwem, jak tylko w wyobraźni p. Jeżewskiego, oboje o swem obcem pochodzeniu wiedzieć będą, a poufałość wieku dziecięcego, przedłużona w wiek młodzieńczy, niebezpieczeństwo zwiększa a nie zmniejsza. Pamiętajmy przytem, że oboje będą w gnieździe należeć do upośledzonych dzieci drugiej klasy a wspólna niedola zbliża.

Niechże więc p. Jeżewski uważa, żeby się nie stał lekkomyślnym reformatorem wychowania i niech sobie przypomni, że znawcy lwowscy dn. 7 kwietnia oznaczyli liczbę sierót dla silnie zagospodarowanego gniazda na dziesięć a nie na jedenaście.

Z góry wiem, że na te wszystkie zarzuty przeciw wychowaniu sierot przez wiejskie kobiety ma wynalazca gniazd jedną walną odpowiedź, na wszystkie mankamenta swego systemu jeden radykalny medykament: instruktorki! To jest opoka i fundament całego systemu gniazd rodzinnych. Ten fundament jest późniejszej daty niż sama budowa, gdyż go w pierwszej broszurze: »*W sprawie zorganizowania kraj. opieki nad dziećmi*« z lutego 1908 nie było i prawdopodobnie wskutek podniesionych zarzutów dopiero w maju w drugiej broszurze »*Do pracy od podstaw*« p. Jeżewski pod budowę podłożył ten fundament a właściwie do budowy przylepił jak angielski plasterek. Instruktorka będzie matką dla 100 sierót, kolejno po 10 odwiedzanych, instruktorka siać będzie po kraju prawdziwą kulturę i dobrobyt, instruktorka zrobi z gniazd niższe szkoły rolnicze, instruktorka, kobieta ideowa, apostołka czystego serca, bez cienia bigoteryi (czy to przypadkiem nie przytyk do białego kornetu w zakładach) przerobi kobietę prostą we wzorową wychowawczynię, instruktorka zepchnie z posad bryłę świata, nowemi ją popchnie tory, instruktorka cudów dokaże.

Na marzenia o instruktorkach może być tylko jedna odpowiedź, że są one „bez liszek i czajek najle-

piszą z p. Jeżewskiego bajek". Aby się przekonać, do jakiego stopnia oddalił się z gruntu realnego, niech szanowny autor gniazd raczy odpowiedzieć na dwa tylko pytania. Pierwsze, czy rzeczywiście wierzy, żeby „kobieta ideowa", choćby tak nabita ideami, jak balon wodorodem, przyjechała na dwa tygodnie co pół roku do wiejskiej gospodyni, matki dzieci, z wyrobionemi wadami i przymiotami i przemieniła ją jak czarownik Dulcineę z Toboso we wzorową wychowawczynię? Nie mówię już o tem, że „prosta kobieta" może z fermy wyrzucić, wygryść lub wygłodzić apostołkę ideową we dwa dni po przyjeździe, jak to autorowi gniazd już zarzucono, zaznaczam tylko, że instruktorka, chociaż by nawet twórca gniazd sobie tego nie życzył, będzie, bo musi być przedewszystkiem kontrolorką donoszącą tym władzom, które autor w pierwszej broszurze wymyślił — o losie dzieci w gnieździe, a więc nie będzie gościem mile zapowiedzianym i gorąco według marzenia p. Jeżewskiego wyczekiwanym.

Jeszcze ważniejsze jest drugie pytanie, kto właściwie w systemie p. Jeżewskiego będzie wychowawczynią, czy wiejska kobieta, u której sieroty ciągle przez lat kilka, kilkanaście, będą pozostawać, czy instruktorka, która dwa razy na rok złoży we fermie wizytę? Jeżeli autor gniazd odpowie, jak się spodziewać należy, że kobieta we fermie, to się pokaże, że się pomylił co do fundamentu swego własnego systemu i że nie instruktorka jest tym fundamentem. Jaka będzie matka gniazda, takie będzie wychowanie dzieci i ona jest gló-

wnym fundamentem i opoką, na której p. Jeżewski oparł całe wychowanie sierot. Widzieliśmy poprzednio, jaki to kruchy fundament i trzeba się dziwić, że p. Jeżewski, mając według swego mniemania takie apostołki w instruktorkach, nie im powierza sieroty, lecz gorszym wychowawczyniom, które dopiero urabiać potrzeba. Sierotom dostają się więc przecedzone i rozcieńczone skutki apostolstwa instruktorek, które zamiast wychowywać sieroty, będą na bryczce podróżować i otrzymają niepewne w skutkach funkcye wychowania wychowawczyń i jeszcze niepewniejsze zadania przemysłowo-rolniczo-kulturalne, do czego już od dawna są w Galicyi instruktorowie. Aby więc ten nieoceniony materyał wychowawczy instruktorek dla dobra sierót — o które przecież autorowi głównie chodzi, należycie zużytkować, byłoby praktyczniej zamiast 10 gniazd z umontowaniem kupować za 400.000 koron, nabyć za tę samą cenę jeden większy kompleks z inwentarzem, osadzić w jednym lub dwóch budynkach 100 sierot i oddać je na wychowanie instruktorce. Instruktorka by sobie dobrała kilka służących, które jako sobie podległe, młode i nie wyrobione łatwiej by mogła urabiać, niż samodzielne gospodynie zamężne, w dobre pomocnice zakładu. Wtedy by prowadził gospodarstwo rolne wyrobiony agronom z Dublan lepiej niż 10 chłopów na 10 fermach, wtedy by sieroty mogły tak samo pracować na roli jak na 10 fermach rozproszone, wtedy by z takiem samem prawem mogły 10 razy większy jeden kompleks nazywać swoim, jak u p. Jeże-

wskiego nazywają każdą fermę, wtedyby wszystkie 100 sierot razem i każda z osobna czuła na sobie bezpośrednie, ciągłe działanie apostolstwa instruktorki, wtedy by instruktorka była rzeczywistym a nie urojonym fundamentem wychowania, ale wtedy z całego projektu zrobiłby się zakład, koszarowy zakład, jak go p. Jeżewski pogardliwie nazywa, a system gniazd rodzinnych prysnąłby jak bańka mydlana. Ma więc autor ferm sierocych do wyboru dylemmat: albo swoją ideową apostołkę zrobić rzeczywistym fundamentem wychowania w zakładzie albo dzieci porozpraszać po fermach na wychowanie przez wiejskie kobiety, ale równocześnie nie twierdzić, że instruktorka jest fundamentem wychowania. Niech wybiera, lecz przy wyborze niech pamięta tylko o dzieciach opuszczonych i sierotach, niech da spokój kulturze i popieraniu Kółek rolniczych. Niech p. Jeżewski bierze sobie przykład z zarządu Związku Kółek rolniczych, który całą swą usilność zwrócił ku popieraniu Kółek, ale zakładów dla sierót nie stawia. Niechże wzajemnie p. Jeżewski zaniecha zamiaru popieraniu Kółek rolniczych i kultury krajowej z funduszów sierocych.

III.

„Nazwijcie mnie, jeśli wola, fanatykiem idei gniazd sierocych“, mówi o sobie p. Jeżewski i rzeczywiście jest takim fanatykiem, co gotów podkopać to, co istnieje, żeby zrobić miejsce dla swoich mrzonek. W zapale propagandy swojego niedorzecznego pomysłu

uważał za stosowne przypuścić atak do zakładów dla dzieci opuszczonych i umieścił naprzód w „Gazecie lwowskiej" potem w artykule »*Krajowe gniazda rodzinne*« osobny rozdział krytycznych uwag o dotychczasowym systemie wychowania dzieci bezdomnych. Te krytyczne uwagi są rzeczywiście niżej wszelkiej krytyki i czasem trudno pojąć, żeby to pisał człowiek, który się tytułuje jako jeden z organizatorów Towarzystwa opieki nad dziećmi w Warszawie i b. wiceprezes tego towarzystwa w r. 1906, a pisze w ten sposób, jak gdyby nigdy w życiu żadnego zakładu nie widział.

„Długi czas nie myślano o tem, — na wstępie pisze p. Jeżewski, — że po za pożywieniem dla ciała trzeba dać również pożywienie dla ducha". A gdzież to p. Jeżewski widział, już nie mówię większy zakład, ale najmniejszą wiejską ochronkę dla dzieci, gdzieby nie myślano o pożywieniu dla ducha? Kiedyż to był taki długi czas, gdzieby o tem nie myślano? Czyż dopiero w Warszawie w roku 1906 zrobiono ten wynalazek, że dziecku trzeba podać takie pożywienie ducha jakie ono przyjąć jest w stanie? od katechizmu aż do wierszyków Jachowicza i Bełzy. Niechby autor gniazd przyjrzał się w którymkolwiek zakładzie chrześcijańskiego miłosierdzia, jak tam dbają o duszę dziecka od najwcześniejszych chwil jego życia, a potem niechby się zastanowił, czy w jego fermach wiejska kobieta, która własnych dzieci wychować nie umie, — dostarczy sierocie takiego pożywienia ducha jakie ono w zakła-

dach odbiera. Gdy zaś w dalszym ciągu swego wywodu przeciw zakładom autor gniazd mówi o konieczności „zrozumienia dziecka“ o „śledzeniu przejawów natury“ jego, na to, aby potem dojść do wniosku, że sierotę trzeba oddać wiejskiej kobiecie na wychowanie w gnieździe, to chyba sam dostarcza broni przeciw swemu systemowi. Wiejska baba w roli Hamleta analizująca duszę i śledząca przejawy jej natury, pomysł wyborny do komedyi ale nie do systemu wychowawczego! Takiej samej wartości są twierdzenia autora broszur o duchowym chaosie wśród gromady dzieci, jaki ma panować w zakładzie, który „siłą rzeczy przekształca się w barak wojskowy — dusza dziecka w numer porządkowy a o stopniu i wartości moralnej decyduje cisza i spokój w zakładzie“ albo: „dla utrzymania subordynacyi w tej masie wtłacza się ją siłą mniej lub więcej surowej dyscypliny w ciasną formę regulaminu zakładu, aż dusza piszczy, aż łapy puchną, aż uszy się obrywają“. Ani mu przez myśl nie przejdzie, że porządek zakładu i regulamin jest chyba jednym ze środków wychowania dzieci, zwłaszcza dzieci polskich, skłonnych do samowolnego postępowania i że zupełnie się godzi ze swobodnem zastosowaniem różnych sposobów postępowania do różnych charakterów wychowanków. I dlatego też nieprawdą jest, co p. Jeżewski dalej twierdzi, że „pod wpływem takiego systemu wychowania najszlachetniejsze uczucia, jeżeli nie zgasną, to osłabną, najwybitniejsze zdolności intelektualne zostaną zniszczone“. Gdyby to miała być

prawda, to by trzeba pozamykać wszystkie szkoly, pensyonaty i konwikty, gdzie bogatsi rodzice oddają swe dzieci właśnie w tym wieku, gdzie indywidualność się silnie rozwija, żeby ich zdolności intellektualne zostały zniszczone. Zacietrzewiony na zakłady autor gniazd nie widzi nawet, że każde wychowanie składa się z dwóch czynników, z przystosowania do indywiduum i z podawania objektywnej prawdy, która może być kilkudziesięciu, nawet kilkuset dzieciom naraz wykładana. Przecież nie będzie żądał, żeby inny katechizm lub inną historyę polską wykładać porywczemu a inną dziecku temperamentu flegmatycznego. Właśnie zakład łączy te dwa kierunki i przez to ani zdolności niszczy ani szlachetnych uczuć nie osłabia. Zakład nie tylko nie wytwarza duchowego chaosu wrażeń, lecz przeciwnie od niego chroni, bo gromada kilkudziesięciu lub kilkuset dzieci porządku przestrzegających nie sprowadzi duchowego chaosu, jaki w najsamotniejszym wiejskim zakątku może dziecku sprawić jeden pijany, gorszący człowiek. I nie w zakładach przy bogobojnych szarytkach, lecz we farmie p. Jeżewskiego dusza dziecka będzie piszczeć, uszy się obrywać a łapy puchnąć, gdy gospodarz podchmielony z jarmarku wróci do gniazda i 10 sierót za jednym zamachem wprawi w duchowy chaos.

Po tego rodzaju oskarżeniach następuje w wyprawie na zakłady prawdziwie fatalne zakończenie, coś na kształt daty statystycznej — ale nieprawdziwej. Gdyby prawdą było, co p. Jeżewski mówi, że zakłady tak

źle wychowują dzieci, tak osłabiają najszlachetniejsze uczucia, tak niszczą zdolności, to musiałyby rok rocznie wyrzucać w społeczeństwo tę zakałę pozbawioną szlachetnych uczuć i „zdolności intellektualnych“. Na szczęście dla siebie a na nieszczęście dla systemu p. Jeżewskiego społeczeństwo nie czuje, żeby taka zakała z tego źródła płynęła i dobrze robi, że zakłady dla dzieci o ile może popiera. Dla autora gniazd fakt ten, że z istniejących zakładów wychodzą dobrze wychowani ludzie, nie jest dogodny po jego wywodach, o złych skutkach wychowania zakładowego. Radzi więc sobie w ten sposób, że bez podstawy utrzymuje: „olbrzymia część dzieci, jakie już raz czy dwa, czy trzy razy były w opiece publicznej — idzie na marne. Daj Boże, aby tylko 75 proc. wszystkich olbrzymich wysiłków i pracy społecznej i kosztów i zabiegów tak się marnowało!“ [1]) Co to znaczy? gdzie się 75 proc. pracy i kosztów marnuje? Gdzie to są te dzieci, które raz czy dwa czy trzy razy były w opiece? — Jak wiemy, dzieci w Galicyi do zakładu przyjęte, bywają raz tylko w opiece, od przyjęcia przeważnie w 7 roku życia aż do 16 lub 17 lat. Oprócz kilku zakładów, jak ks. Ogińskiej w Bobrku, Domu pracy w Krakowie, lwowskiego Towarzystwa opieki nad niemowlętami, zakładu p. Żurowskiej, które przyjmują w wieku niemowlęcym i wychowanków swych nie opuszczają aż do 17 lat, wszystkie inne zakłady — przeważna część —

---

„Gazeta lwowska“ z 12 czerwca.
„Czas“ z 27 czerwca 1908.

przyjmują dopiero w 7 roku życia (zakład Józefitów, Lubomirskich, ks. Markiewicza w Miejscu Piastowem, w Pawlikowicach, ks. Siemaszki, Skarbkowski itd.) i wychowankowie ich raz tylko są w opiece publicznej aż do ukończenia wychowania. Jeżeli więc ta cyfra 75% odnosić się ma do zmarnowania trudów i kosztów wychowania w zakładach właściwie wychowawczych to jest nieprawdziwa i zmyślona, i cyfry statystycznej o zmarnowanych indywiduach wychowania zakładowego niema i być nie może, w każdym razie byłaby bardzo nizką, może jakie 5—6%, tak doskonałe rezultaty moralne daje wychowanie w zakładach dobrze prowadzonych. W obronie zakładów trzeba więc stanowczo zaprotestować przeciw takiemu zmyślaniu cyfr jakoby statystycznych, wyrwanych z powietrza, według tego jak p. Jeżewskiemu na poparcie jego pomysłów potrzeba i przeciw takiemu sposobowi pisania w ważnych sprawach społecznych.

W ten sposób pisząc, staje się p. Jeżewski w sprawie sierocej szkodnikiem mimo swej woli i chęci. Zakłady galicyjskie z wyjątkiem czterech fundacyjnych utrzymują setki dzieci ze składek. Można sobie wyobrazić, jakąby szkodę i spustoszenia we funduszach ich mógł poczynić autor gniazd takiemi publikacyami zarzutów przeciw wychowaniu zakładowemu, że zdolności niszczy i 75 procent kosztów idzie na marne. Uwierzywszy w tę nieprawdziwą cyfrę, któżby chciał cokolwiek dać na utrzymanie takiego zakładu. Na szczęście jest ona tak na pierwszy rzut oka mylną, że trudno

przypuścić, żeby ktokolwiek rozsądny wziął ją na seryo.

Ale p. Jeżewski szkodzi sprawie dzieci opuszczonych i sierot jeszcze w inny sposób. Jak we wstępie zaznaczyłem, sprawa ta, chociaż daleka od zadowalniającego załatwienia, znajdowała się na dobrej drodze. Gdy liczba dzieci opuszczonych coraz wzrastała, gdy Wydział krajowy w sprawozdaniu swem z listopada 1906 wykazał sejmowi tę liczbę na 40393, pokazało się, że prywatne miłosierdzie jubileuszowe czy nie jubileuszowe i humanitarne zabiegi tej sprawie nie podołają i opinia publiczna żądała od kraju i od państwa, aby tę palącą kwestyę załatwiły jako kwestyę administracyi publicznej. Wyrazem tej opinii była petycya krakowskiej Rady opiekuńczej, były przemówienia posłów, zwłaszcza posła Franciszka Maryewskiego na posiedzeniu sejmu dnia 5 marca 1907 i wniosek komisyi prawniczej na sesyi wrześniowej tegoż roku. Jak jednak ze sprawozdania Wydziału krajowego o funduszu sierocym z listopada 1906 widoczne, Wydział nie był przychylnie usposobiony dla tego rodzaju załatwienia sprawy, jakiego domagać się zaczęto. Wśród tego wystąpił p. Jeżewski z propozycyą innych urządzeń i w myśl tendencyi panującej w Wydziale krajowym ogłosił zaraz w pierwszej swej broszurze zasadę, aby kraj na wychowanie dzieci nie ponosił wydatków [1]). Zasada dyametralnie przeciwna temu, czego się domagała w petycyi krak. Rada opiekuńcza i posłowie

[1]) „W sprawie zorganizowania krajowej opieki". Str. 9.

w sejmie, i dosyć dziwna ze strony świeżo z Warszawy przybyłego, niespodziewanego opiekuna finansów Galicyi.

Gdyby więc udało się p. Jeżewskiemu odwrócić uwagę ogółu od tamtego jedynie skutecznego sposobu załatwienia sprawy a skupić ją na gniazda swego pomysłu, odwlókłby na całe dziesiątki lat zagojenie tej rany społecznej. Dosyć powiedzieć, że na 40.000 dzieci bez opieki i 24.000 ludzi nieosieroconych miałoby być 4.000 gniazd, każde po 50.000 koron z funduszami rezerwowemi, p. Jeżewski więc musiałby uzbierać ofiar w kapitale za 200,000.000 koron a bez funduszów rezerwowych 160,000.000 koron, wprawdzie p. Jeżewski spodziewa się, że w roku jubileuszowym popłyną „olbrzymie“ fundacye, ale ta nadzieja przez ubiegłe pół roku już go zawiodła, a przez drugie półrocze niezawodnie zawiedzie, w ostatecznym rezultacie będzie w stanie 3 lub 4 fermy urządzić i na tem koniec. Do tych 3 lub 4 ferm przyjąłby tylko wyrostków, mogących na fermie pracować, bo znawcy 7 kwietnia zebrani takiego „racyonalnego doboru dziatwy co do wieku“ żądali, a właśnie te dzieci, dla których najwięcej pomocy potrzeba, dzieci niżej lat 8, ginęłyby bez ratunku, jak obecnie giną.

Jest więc rzeczą przykrą do stwierdzenia a jedynie w Polsce możliwą, że człowiek tak szlachetnie myślący, jak to z broszur jego widoczne, taki pełen zapału dla ratowania dzieci, tak energiczny jak p. Jeżewski, wskutek braku zastanowienia i oddawania się

złudzeniom zaszkodził swemi broszurami sprawie, której się poświęca. Gdyby się był trochę głębiej nad swym projektem zastanowił, byłby musiał go zaniechać a nie oddawać się illuzyom, że przez gniazda spełnią się słowa wielkiego poety i przez nie przyjdzie „nowych ludzi plemię, jakich dotąd nie widziano“. Nowe plemię przez te koszlawe gniazda! Risum teneatis. Przyznam się, że przy czytaniu projektu gniazd nasunął mi się na pamięć wiersz inny, mniej wzniosły lecz bardziej rodzimy. Nie zwracam go do autora gniazd, którego szanuję za jego zapał i szlachetność, ale właśnie dlatego — otwarcie mu powiem, jaki to wiersz może przyjść na pamięć z powodu niektórych ustępów jego broszur. Gdy przeczytałem, że taniej jest żywić 16 osób niż 10, że instruktorka przemieni starą kobietę w doskonałą wychowawczynię, że w wychowaniu trzeba śledzić i poznać duszę dziecka i dlatego oddać je na wychowanie wiejskiej kobiecie, nasunął mi się na pamięć wiersz z IV księgi „Pana Tadeusza“ ten ustęp, gdzie asesor mówi do rejenta:

„A do stu niedźwiedzi,
„... co też to pan bredzi.

*Bronisław Olearski.*

## Kilka uwag o szpitalnictwie.

W dzień uroczystości św. Wincentego, genialnego organizatora chrześcijańskiej opieki nad chorymi, zastanawiałem się nad dziwną tajemnicą, jaka tkwi w sposobie opieki nad chorymi, której uczył ten wielki patron szpitalnictwa chrześcijańskiego i niezrównany pocieszyciel nieszczęśliwych w przeciwstawieniu do szpitalnictwa, co św. Wincentego za patrona nie uznaje i miana chrześcijańskiego nie przyjmuje. To przeciwstawienie nasunęło mi się na myśl wskutek tego, że po refleksyach, jakim się w tym dniu oddałem nad miłosierdziem, którego nauczycielem i Patronem jest św. Wincenty, wziąłem do ręki broszurę p. t. „Kilka uwag o szpitalnictwie niemieckiem, podał Dr. Józef Starzewski" *) aby ją po raz wtóry przeglądnąć. I uderzył mnie w tej broszurze, która jest na najwyższy ton nastrojonym hymnem pochwalnym na cześć szpitalnictwa niemieckiego, jeden bardzo interesujący szczegół. Z całą szczerością, która się autorowi widocznie mimo jego woli przydarzyła, przyznaje on, iż: „Chory w szpitalu niemieckim nie czuje się dobrze i swojsko, mimo całego przepychu higienicznego" (str. 4.) — Ponieważ wyobrażam sobie, a sądzę, że nie różnię się pod tym względem od innych zwykłych śmiertelników, że szpitale z tak wielkim nakładem stawia się i urządza je po to, aby w nich nieszczęśliwy chory czuł się szczęśliwszym i aby mu tam o ile możności było dobrze, postawiłem sobie pytanie, za co te pochwały bezwzględne dla tych, z tak nadzwyczajnym kosztem stawianych szpitali, w któ-

*) Sprawozdanie odczytane na posiedzeniu krajowej Rady zdrowia w dniu 4. kwietnia 1908 – wydane w osobnej odbitce.

rych chory „nie czuje się dobrze i swojsko". A tymczasem nie-„niemieckie szpitalnictwo" — ale to szpitalnictwo, które organizował i którego patronem św. Wincenty — ociera łzy, pociesza, choremu w niem można powiedzieć, „dobrze i swojsko"; uszczęśliwia go, o ile chorego uszczęśliwić można. — Tak każdemu nieuprzedzonemu mówi historya. Jestem także pewien, że gdyby autor wspomnianej broszury postanowił sobie, złożywszy uprzedzenie i zdobywszy się na dobrą wolę, choć tak gruntownie (w 4 dniach!), jak zwiedzał szpitale niemieckie w Poznaniu (nie, broń Boże, ten katolicki), Dreźnie, Hamburgu i Berlinie, zwiedził u nas szpitale, w których choć w części zastosowane to szpitalnictwo św. Wincentego i gdzie są nie te idealne „Schwestern" niemieckie, tylko te tak przez niego ze wszelkich kwalifikacyi służenia chorym obrane „zakonne S. Miłosierdzia", nie mógłby tak stanowczo jak o tamtych szpitalach wypowiedzieć: „Chory nie czuje się dobrze i swojsko". Czemu? Dr. Starzewski sam w swojej mimowolnej otwartości odpowiada nam choć połowicznie na to. „Słabą stroną lekarzy szpitalnych niemieckich jest ich osobisty stosunek do chorych. Jest zimny i sztywny, jak te ich białe sale, wyłożone od góry do dołu lśniącymi kafelkami" *). To jedna przyczyna wedle p. Dr. Starzewskiego: lekarze zimni, jak lśniące kafelki. Przyczyna bardzo trafna, a dostrzeżenie jej świadczy o bystrości wzroku obserwatora. Ja zaraz dodaję, że tę przyczynę usuwa szpitalnictwo wedle zasad św. Wincentego, który uczył, że pociechę choremu i ulgę prawdziwą przynieść może nie ten, co zimny jak „lśniący kafelek", ale kto jest ogrzany chrześcijańską miłością bliźniego. — Ale oprócz lekarzy, pielęgnują tam chorych „niemieckie doskonale wyszkolone „Schwestern", „które stanowią kamień węgielny szpitalnictwa niemieckiego" (str. 5). Czy one także zimne jak „lśniące kafle"? Nie mówi tego broszura wyraźnie, ale domyślać się tego każe, gdy opowiada, że tych lśniących kafli tak tam dużo, a twierdzi, że przecież chorym

---

*) Na pochwałę ich pisze w przeciwstawieniu do lekarzy naszych szpitali: „pilnowanie godzin służby u nich dokładniejsze etc."

zimno. Rzeczywiście kafle z tej gliny ciepła nie trzymają, niema miłości chrześcijańskiej bliźniego w sercach tych zachwalanych „Schwestern". Dyakoniski i inne podobne niemieckie „Schwestern", nie idą chorym służyć z poświęcenia, ale dla zarobku, a służą im po większej części tak długo, dopóki sobie nie zbiorą dostatecznego posagu.

Drugą przyczynę, dlaczego chory w tych wspaniałych szpitalach niemieckich „nie czuje się dobrze", tłomaczy p. Dr. Starzewski w ten sposób: Chory „jest tak skrępowany przepisami na każdym kroku, jak żołnierz podczas defilady". Trudno mi zrozumieć tę logikę, która każe hymny śpiewać na cześć tych szpitali, w których nieszczęśliwy chory skrępowany jest ciągle jak żołnierz podczas defilady. Rozumiem jednak łatwo, że mu tam nie dobrze. Po co więc te przepisy, co chorego unieszczęśliwiają? Czyż nie o dobro i uszczęśliwienie chorego w szpitalach chodzi? Mniejsza o chorego, defilady domaga się dobro nauki. Tak jest, szpitalnictwu temu zachwalanemu nie o uszczęśliwienie chorego w pierwszym rzędzie chodzi. Szpitalnictwo zaś św. Wincentego karze wszystkim, nawet nauce iść choremu w służbę, jego uszczęśliwienie ma na celu w pierwszym rzędzie. Może dlatego zacofane? W każdym razie nie zgadza się w tym punkcie ze szpitalnictwem tamtem — i tamtemu się nie podoba.

Te dwie przyczyny podaje wyraźnie broszura p. Starzewskiego na wytłomaczenie, czemu w tych idealnie doskonałych szpitalach niemieckich chory nie czuje się dobrze. O trzeciej przyczynie mówi jeszcze ona nie wyraźnie, ale mówi wielką częścią treści swojej. — Ta trzecia przyczyna, to brak pociech, które daje religia prawdziwa. W salach tych wspaniałych szpitali, chory w nieszczęściu swojem nie może się czuć „dobrze" i zimno mu tam, nie tylko dlatego, że lśniące kafle, którymi sala wyłożona, zimne są, ale i dlatego, że tam cała atmosfera jest po protestancku zimna. Pociechy, które daje prawdziwa religia katolicka, nie mają wstępu do tych sal o ścianach lśniąco-kaflowych. W tych wzorowych szpitalach nie wolno się w takie pociechy bawić. Nie potrzebuję zaś chyba pisać o tem, jakie skarby pociech, siły ducha i od-

wagi w cierpieniach mieszczą się w religii katolickiej. Dlatego św. Wincenty organizując szpitalnictwo chrześcijańskie uczył: choremu należy dać łóżko jak najwygodniejsze, pożywienie o ile można jak najlepsze, powołać na jego usługi naukę lekarską, pielęgnować go czujnie i jak najumiejętniej – a przy tem wszystkiem nie krzywdzić go, pozbawiając go pociech religijnych, bo on ich bardzo potrzebuje. W tem ostatniem nie zgadza się z nim szpitalnictwo, które zachwala broszura wyżej cytowana. Powiedziałem, że mówi to owa broszura treścią swoją. W jaki sposób? Pan Dr. Starzewski twierdzi, że S. S. Miłosierdzia nie są ukwalifikowane do służenia chorym i kwalifikować się nie mogą, bo ich reguły a więc natura ich instytutu nie pozwala im się ukwalifikować – a więc z tego konkluzya, że ze szpitala należy je usunąć. W szczegółach twierdzenie to tak brzmi:

1) Siostry Miłosierdzia są zakontraktowane na wyjątkowych warunkach prawie w zupełnej niezależności od zarządów szpitalnych, aplikacyę ich lub zmianę załatwia zarząd centralny zakonu wyłącznie ze stanowiska interesów Zgromadzenia.

2) S. S. Miłosierdzia mają zupełny brak fachowego wykształcenia; – ono jest zasadniczo przepisami ich reguły wykluczone.

3) S. Miłosierdzia wedle przepisów swego zakonu nie może bezwarunkowo nawet znajdować się w tym samym pokoju, gdzie wykonywa się jakiekolwiek zabiegi lecznicze, czy też zwykłe pielęgnarskie na człowieku obnażonym, bez względu na to, czy to jest mężczyzna, kobieta, czy nawet dziecko.

4) Przeszkadza jej do tego jeszcze i ta okoliczność, że od razu zostaje samodzielną dozorczynią oddziału bez odbycia jakiejkolwiek praktyki pod kierunkiem starszej, doświadczonej Siostry.

5) Przebywa na oddziale tylko kilka godzin dziennie – „w nocy przez 10 godzin musi siedzieć za klauzurą“.

6) Nieustannie przez zarząd centralny Zgromadzenia jest odrywana od pielęgnowania chorych do prowadzenia zarządu centralnego, nowicyatu, kuchni, ochronek, domów poprawy, więzień i t. p. instytucyi.

Dla tych powodów Siostry Miłosierdzia nie powinny być przypuszczane do opieki nad chorymi. Tak twierdzi Dr. Starzewski. Ponieważ jednak wszystkie te powody są nieprawdziwe, więc konkluzya się utrzymać nie da — a jednak utrzymać ją trzeba, bo nasze szpitale mają być takie jak tamte — nie ma być w nich S. S. Miłosierdzia. A więc chyba inny jakiś powód — to właśnie ten punkt trzeci — niedomówiony.

Powiedziałem, że powody przytoczone przez p. Dr. Starzewskiego są nieprawdziwe. Muszę dodać, iż niezmiernie zdziwiło mnie to, że mógł się autor tak bardzo w tych punktach wszystkich mylić. Już to, co twierdzi o regułach S. S. Miłosierdzia, które im rzekomo zakazują kształcenia się w pielęgnowaniu chorych, albo zakazują bezwarunkowo nawet znajdować się w tym samym pokoju, gdzieby choć i dziecko, ale obnażone było — to jeszcze rozumiem, bo reguł S. S. Miłosierdzia wolno mu nie znać (choć w takim wypadku lepiej nic o nich nie twierdzić), albo może się pomylił, aplikując do S. S. Miłosierdzia co czytał w regułach jakichś n. p. „Schwestern“, ale dziwią mnie bardzo pomyłki wszystkie inne.

Wszakże p. Starzewski, jako dyrektor szpitala powszechnego we Lwowie, musi wiedzieć, co się w jego szpitalu dzieje, a więc że dwie Siostry Miłosierdzia kolejno w każdą noc czuwają w szpitalu i zwiedzają sale chorych a więc „nie siedzą w nocy 10 godzin za klauzurą“, wiadomo mu także, że inne Siostry jeszcze o 9 wieczór zwiedzają swoje sale chorych — a o 4 godzinie rano ze snu wstają. Wiadomo mu chyba, że Siostry Miłosierdzia przy operacyach chorych w szpitalach prowincyonalnych asystują, usypiają ich, lekarzom instrumenty podają, opatrunki zakładają etc., a przy operacyach podobno obnażeni są chorzy. W szpitalu we Lwowie, gdzie jest medyków praktykantów dużo ku temu, nie asystują przy operacyach Siostry, ale nie dlatego, żeby im to zakazywała reguła, tylko dlatego, że są niepotrzebne. Co do zarzutów pod 1) i 6) to chyba rozumie każdy, że musiał się omylić Sz. Autor, boć nie podobna, aby Wydział krajowy tak długo cierpiał to, aby „zarząd centralny“ nie miał w zarządzie Sióstr na oku zupełnie szpitali, ale tylko swoje interesa Zgromadzenia, albo żeby w Zgromadzeniu istniał

taki bezład, aby od chorych odrywano Siostry do „zarządu centralnego“, nowicyatu etc. Co do 4) to trzeba, aby nam wytłomaczył Szanowny p. Dyrektor, co robią Siostry, które już mają jakąś praktykę, jeżeli Siostra bez żadnej praktyki „zostaje od razu samodzielną dozorczynią“? Młodsza, bez praktyki jest „samodzielną dozorczynią“ a doświadczona, starsza, pod nią? Przypuszczam, że w przygotowaniu Sióstr Miłosierdzia do służenia chorym byłoby nie jedno do uzupełnienia (komuż doskonalenie nie potrzebne?) ale zarzuty, jakie postawiła broszurka, o której mówię, są zupełnie mylne. — A więc chyba inny motyw usunięcia S. S. Miłosierdzia od pielęgnowania chorych. Otóż ten motyw to ten, że trzeba, aby było jak tam w tych idealnych szpitalach niemieckich, gdzie nie ma na sali osoby w kornecie katolickiej zakonnicy i z koronką u boku. Szpitale nie powinny mieć jakiejś przymieszki religijnej – bo tak jest w idealnych szpitalach niemieckich. Ale też tam w tych szpitalach, jak opowiada p. Dr. Starzewski, zimno i obojętność otacza chorego — i czuje się on tam niedobrze.

I oto rozwiązana tajemnica szpitalnictwa wedle zasad św. Wincentego a szpitalnictwa, którem się zachwyca broszura p. Dr. Starzewskiego. Pierwsze, choćby nie miało tak wspaniale urządzonych budynków ani tak bogatych środków leczniczych, przynosi choremu pociechę, ulgę, dźwiga go i rozjaśnia mu duszę a drugie przy przepychu swoim i bogactwie środków – musi zrobić smutną obserwacyę, że choremu w niem nie dobrze i nie swojsko. Pierwsze ma to, czego brak drugiemu: Miłość chrześcijańską dla chorego, poświęcenie dla niego bezgraniczne i otoczenie go ciepłą atmosferą religii katolickiej. — Szpitalnictwo bez miłosierdzia to zakłady doświadczalne, miłosierdzie zaś, co nie oparte na religii prawdziwej, to parodya miłosierdzia.

P. Dr. Starzewski wypowiedział we wspomnianej broszurze jedno bardzo trafne zdanie, które w zupełności podzielam. „Musimy powiedzieć, że niemieckie Schwester a nasze Siostry Miłosierdzia, są to dwie zupełnie różne instytucye, tylko z imienia „siostry“ do siebie podobne“ (str. 6). Szkoda, że widocznie krótkość czasu stanęła mu na zawadzie, iż nie mógł się tym „Schwestern“ przypatrzyć

bliżej, aby nam opowiedzieć dokładnie, jak one w praktycznem życiu się przedstawiają, jak się poświęcają dla chorych, jaki ich stosunek z chorymi, a zwłaszcza z lekarzami etc. Powiedział nam tylko, że mają „dyplomy“ — a nasze Siostry Miłosierdzia ich nie mają. Rzeczywiście, że to też różnica. Ale abyśmy mogli ocenić wartość jednych i drugich i jakość tych zupełnie różnych instytucyi zrozumieć, pytamy się o coś więcej. Otóż ponieważ podpisany także tamtejsze szpitale widział i dowiadywał się o tych „Schwestern“ czegoś więcej niż o dyplomy, więc uzupełni relacye, jakie nam daje cytowana broszura i zaznaczv dokładniej te różnice.

Otóż pierwszą różnicą między jedną i drugą instytucyą jest materyał, że się tak wyrażę, jaki je składa. Na „Schwestern“, o jakiej mówi p. Dr. Starzewski, idą prawie wyłącznie, to cobym nazwał: wysortowane albo resztki. To wszystko, co nie mogło chwycić losu gdzieindziej, chroni się do dyakonisek i t. p. „Schwestern“. To spostrzeżenie moje można sobie uzupełnić, przeczytawszy książkę Adelaidy Bandau „Zwölf Jahre als Diakonissin“. I nic dziwnego, wobec pojęć, jakie szerzył Luter, a któremi przejęte są te „Schwestern“, nie może być inaczej. — Do Sióstr Miłosierdzia zaś „resztek“ nie przyjmują. Wszystkie można powiedzieć katolickie panienki, co zapukały do furty Sióstr Miłosierdzia, zostawiły na świecie szczęśliwe stosunki rodzinne i jeźli nie były wszystkie bogate, były przecie prawie wszystkie szczęśliwe i kochane.

Druga różnica to motyw, jaki kandydatki do tych instytucyi sprowadza. Siostra Miłosierdzia idzie służyć chorym, dla idei, z miłości ku Bogu, który jej powiedział, że jakby Jemu samemu służyła, tak ta usługa ubogiemu i choremu miłą Mu będzie. Diakoniska, albo wedle p. Dr. Starzewskiego „Schwester“ idzie, bo tam na razie najdogodniejsze dla niej schronienie — szuka chleba i.... doczesnego szczęścia. *)

*) „Es gibt nirgends im Leben einen Beruf, der einer Jungfrau soviel Gelegenheit gibt in den Ehestand zu treten, als das Amt einer Diakonissin. Die grosse Nachfrage nach jungen Schwestern für die Ehe bildet aber bereits einen so anerkannten Übelstand...“ Adine Gemberg: „Die evangelische Diakonie“ (Berlin 1894).

Siostra Miłosierdzia, idąc służyć chorym, nabiera siły w ślubach ubóstwa, czystości, posłuszeństwa i miłości dla nieszczęśliwych, dyakoniski siła, to tęsknota za zgromadzeniem grosza, pragnienie usłania gniazda rodzinnego, niechęć do tego, co jej wolę krępuje i przekonanie, że chory to konieczność na którą skazana. Siostrze Miłosierdzia nie wolno pieniędzy za usługę choremu oddaną brać, owszem, jej pieniędzy mieć nie wolno, bo ślubowała ubóstwo „Schwester“ protestancka jak dyakoniska, oprócz utrzymania i płacy do kasy ich instytutu dostaje 90 mk. rocznie jako „Taschengeld“, a 15 mk. na podróże dla przyjemności. Same więc „Taschengeld“, wydane dyakoniskom w r. 1882 w Niemczech, wynosiły przeszło milion mk. *)

„Schwester“ więc jest oczywista o wiele droższa od Siostry Miłosierdzia i to także jest różnica. Dodajmy, że w naszych szpitalach to nawet służąca jest zwykle droższa od Siostry Miłosierdzia. A droższa „Schwester“ od Siostry Miłosierdzia jest niesłychanie od niej mniej pracowita, potrzebuje dużo czasu dla siebie, na ubieranie się, zabawy e t. c., a nie ma tego, co się nazywa poświęceniem. Siostry Miłosierdzia rozumieją swoje powołanie jako ofiarę z życia, złożoną Bogu, i nie wahają się też życia tego w służbie chorych łożyć. Wedle obliczeń Kornet'a (Zeitschrift für Hygiene t. VI) w r. 1888 na zmarłych zakonnic katolickich, opiekujących się chorymi, umarło 68% na tuberkulozę, której nabyły, służąc chorym — a wiek przeciętny wszystkich zakonnic wynosił lat 36. Dat tego rodzaju, odnoszących się do dyakonisek i pielęgniarek świeckich, nie mógł zebrać z powodu „niestałości ich w powołaniu i ciągłego porzucania służby chorych“.

Ślub czystości, jaki składają Siostry Miłosierdzia, to także coś, co uzasadnia twierdzenie p. Dr. Starzewskiego: „Niemieckie „Schwester“ a nasze Siostry Miłosierdzia są to dwie zupełnie różne instytucye“. Apostoł św. Paweł mówi bardzo pięknie o dziewicy chrześcijańskiej, co Bogu czystość ślubowała, iż „myśli o tem co Pańskiego jest, aby była święta ciałem i duchem“ — a o nie dzie-

---

*) Bandau... (str. 119).

wicy powiada, iż „myśli co światu należy, jakoby się podobała mężowi" (I. Cor. VII. 34). Jakby na potwierdzenie tych słów Apostoła pisały w r. 1901 w Nr. 325. „Neueste Berliner Nachrichten" (podobno nie klerykalne) o tych tak uwielbianych „Schwester": „Eine, recht kokette, ansprechende Gewandung, welche die körperliche Reize der Persönlichkeit nicht unvorteilhaft hervortreten lasst, scheint manchen Schwestern wichtiger zu erscheinen, als die innere Vertiefung in ihren Beruf. Das diese Äusserlichkeiten sie zu schweren Dienstleistungen am Krankenbette untauglich machen, beklagen die Ärzte. Man hat für diese Schwestern die Bezeichnung „Sport und Versorgungschwestern" erfunden". „Viele sollen auch den Dienst im Krankensaal nur als eine Durchgangsstation zur Verehelichung betrachten. In einer hiesigen Zeitung wurde kürzlich von ärztlicher seite konstatiert, dass sich eine nicht kleine Anzahl dieser Schwestern mit Ärzten vermählt, die sie in den Kliniken kennen gelernt haben".

Wreszcie jeszcze jedna wielka różnica między tymi dwoma instytutami: wytrwałość i stałość w powołaniu. Siostra Miłosierdzia poświęciwszy raz życie Bogu w osobie chorych, nie cofa tej ofiary i nie schodzi z posterunku, dopóki jej Bóg nie odwoła. Rzadkie są u nich stosunkowo wypadki porzucenia powołania. U dyakonisek i innych „Schwestern" jest to tak częste, że można o nich postawić twierdzenie ogólne, jakie już wypowiedziałem, iż służą chorym, dopóki posagu nie zbiorą i partya się im nie trafi. Może przesadzam, niech więc mówią cyfry: Na 160 „Schwestern" zajętych w szpitalu Elżbiety w Berlinie, w przeciągu 25 lat porzuciło swój zawód 120. Na 586 w tychże latach w Betanii w Berlinie wyszło 337. Na 1054 „Schwester", które w Kaiserswerth (ich dom centralny) w latach między 1836—1881 poświęcenie na dyakoniski jakoby śluby otrzymały, umarło tylko 110 jako dyakoniski, 460 wyszło za mąż, reszta inne zawody sobie obrała. *) Chyba więc nie wielka ich praktyka i wyćwiczenie w służeniu chorym przy takiej ich fluktuacyi. Ale prawda: dyplomy mają.

---

*) „Diakonissen oder Barmherzigen"? Wunnibald Langstalter (str. 60—61.).

Bardzo więc słuszna i bardzo mi się podoba sentencya p. Dr. Starzewskiego wyżej przytoczona. „Reasumując powyższe uwagi, musimy powiedzieć, że niemieckie „Schwestern“ a nasze Siostry Miłosierdzia, są to dwie zupełnie różne instytucye, tylko z imienia „Siostry“ do siebie podobne“.

Gdyby krótkość czasu nie była p. Dr. Starzewskiemu stanęła na przeszkodzie, byłby niezawodnie nie same tylko protestanckie zwiedzał szpitale, ale umiałby nam też coś powiedzieć i o szpitalach katolickich za granicą, gdzie „Wydział krajowy“ bogatszy i hojniejszy na szpitalnictwo. Sądzę, że wtedy mniejby mu były imponowały te szpitale pruskie i ich „Schwestern“. Na tyle jednak mógł w Berlinie w czasie owego XIV. międzynarodowego zjazdu znaleść czasu, aby pojechać na Joachimsthaler Strasse i zwiedzić wspaniałe „Sanatorium des Westens“. Ogromnie byłby zdziwiony (a może oburzony?), gdyby tam zobaczył nasze „zakonne Siostry Miłosierdzia“, (zupełnie takie jak we Lwowie, jedna nawet po polsku mówi) i przekonał się, że w tem, wedle najnowszych wymagań szpitalnictwa, urządzonem Sanatorium posługę chorym spełniają one a nie owe sławne „Schwestern“. Gdyby się tem bardzo zainteresował, dowiedziałby się, że właściciel Sanatorium, zrobiwszy rozmaite próby z owemi słynnemi „Schwester“, zaprosił wreszcie przed kilku laty „zakonne Siostry Miłosierdzia“ i teraz z nich bardzo zadowolony, a chorzy czują się tam przy nich „dobrze i swojsko“.

Możeby i przyznał po cichu, że piękne to wszystko i potrzebne, co go w szpitalach pruskich pod względem urządzeń zachwycało, ale „chory nie czuje się tam dobrze i swojsko“, gdy tam nie ma uczennicy wielkiego Patrona szpitalnictwa, św. Wincentego — Siostry Miłosierdzia.

*Ks. K. Słomiński,*
Dyrektor Sióstr Miłosierdzia.

Członkom Konferencyi św. Wincentego, gorliwym Księżom Proboszczom, tudzież wszystkim, którzyby chcieli założyć lub przystąpić do Towarzystwa naszego, przypominamy, że w sprawie **założenia i agregacyi męskiej Konferencyi św. Wincentego** mają się zgłaszać do sekretarza Rady wyższej W. P. **Maryana Bartynowskiego,** Kraków, ul. św. Tomasza 28.

W sprawie założenia i agregacyi **Pań Miłosierdzia** zwracać się należy do **Domu Centralnego Sióstr Miłosierdzia,** Kraków, Warszawska 8.

**Redakcya** udziela informacyi i ma w tym celu następujące druki na składzie:

**Przewodnik Tow. św. Wincentego a Paulo.** Dzieło niezbędne dla każdej Konferencyi. (1·50 kor. 1·50 Mk., 75 kop.).

**Ustawy Tow. św. Wincentego a Paulo** z dołączeniem odpustów dla członków i dobrodziejów. (30 hal., 30 fen., 15 kop.).

**Duch św. Wincentego a Paulo.** Wydanie nowe. Broszur 1 kor. (1 Mk., 50 kop.), opraw. 1·50 [illegible] (1·50 Mk., 75 kop.).

**Maksymy św. Wincentego a Paulo.** Broszur. 50 hal., (50 fen., 25 kop.), opr. 80 hal. (80 fen., 40 kop.).

**Żywot św. Wincentego a Paulo (tłómaczenie z Bollandystów).** Cena egzemplarza 30 hal. ([illegible]n., 15 kop.).

**Zakładanie Konferencyi św. Wincentego a Paulo po wsiach i miasteczkach.** Cena egzemplarza 5 hal. (5 fen., 2 kop.)

**Jak zakładać Konferencye Towarzystwa św. Wincentego a Paulo i jak niemi kierować?** (10 hal., 10 fen., 5 kop.)

**Towarzystwo św. Wincentego a Paulo** jego założenie, rozwój, ustrój i dzieła. — Cena 25 hal. (20 fen., 15 kop.).

Dla stow. Pań Miłosierdzia, redakcya ma na składzie informacyjne broszurki, p. t.: **Dzieło dla ubogich chorych** i **karty wpisowe** z objaśnieniami, tudzież dla **Panien Ekonomek.**

Na żądanie W. W. P. P. Prezesów Redakcya bezpłatnie dostarczy: **Spis Konferencyi w Galicyi,** czas i miejsce ich posiedzeń do zawieszenia w lokalu posiedzeń.

Adres:

**REDAKCYA DWUMIESIĘCZNIKA**

**Kraków, Kleparz, ulica św. Filipa L. 19.**

---

Wydawca i redaktor odpowiedzialny za komitet: **Ks. Jan Rzymełka.**